ROZMAITOŚCI.

We Czwartek **Nro. 119.** 17. Października 1822.

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Przeszkoda.

Kiedy bowiem pewnego ciepłego poranku wiosennego z gramatyką włoską w ręku podług zwyczaiu swoiego zbliżał się do iaśminowéy altanki, i iuż z całego serca uczyć się myślał, i gdy właśnie wchodził do niéy, zastaie w cieniu siedzącą młodą dziewczynę z książką w ręku uczącą się pilnie. Miała może rok ośmnasty, piękna i biała iak liliia, słowem, była to dziewczyna, iakiéy młody le Blond nigdy nie widział; bo nie łatwo można gdzie zobaczyć tak czysty śnieg na szyi i twarzy, lica zarumienione tak pięknym karminem, usta iak żar, oczy iak sadzę, rzęsy w kształtnym łuku, iakby chińskim tuszem odmalowane, a na białém iak słoniowa kość czole, czarne z włosów pierścienie.

Blondynek oniemiały stanął iakby wryty. Niemniéy strwożoną była piękność nieznaioma na widok nadobnego młodzieńca, który iéy spadł iak gdyby z obłoków. Na iéy twarzy malowało się takie zadumienie, iż się zdawało, iakoby nigdy w życiu swoiém nie widziała Blondyna. Zmieszana ukłoniła mu zię grzecznie, i ón powtórzył ten ukłon, poczém oboie zaczęli się po tysiąc razy przepraszać, nie obraziwszy się bynaymniéy. Nakoniec przyszło do rozmowy. Piękna nieznaioma prowadziła ią z żywością, ale cokolwiek niezrozumiale, mówiła po francuzku iak cudzoziemka, mieszaiąc mnóstwo włoskich wyrazów. Jednakże wkrótce oboie z rozmowy doszli, iż są sąsiadami, iż ogród leżący za ogródkiem Blondyna należy do wielkiego domu stoiącego na ulicy Stego. Fiakra, że le Blond przyszedł do altany uczyć się po włosku, a piękna nieznaioma przyniosła z sobą gramatykę francuzką, bo dopiéro od trzech miesięcy przyiechała z Włoch, i chciała ile możności poiąć francuzką mowę. —

Gdy tak oboie dawali sobie wzaiemnie obiaśnienia, które długo bardzo trwały, bo często nie znayduiąc słów, jestow używać musieli, ażeby się dać zrozumieć, w tém zawołał iakiś głos kobiécy: Joasiu! Joasiu. Joasia pożegnała więc czémprędzéy Blondyna, porwała gramatykę ze stolika, i znikła.

Blondyn stał ieszcze iakby przykuty do ziemi, i sam nie wiedział, co się z nim stało. Jakaś nagła przemiana zaszła w altanie z iaśminu, każdy listek zdawał mu się zieleńszym, pięknieyszym, czarownym, a w sercu swoiém czuł pewien rodzay zachwycenia, tęsknoty, któréy przyczyny odgadnąć niemógł. Siadł na téy saméy ławeczce, na któréy ona siedziała, ale zaledwie dotknął się tego mieysca, przeszedł go dreszcz niepoięty, a przecież przyiemny. Marzyło mu się ieszcze, że ią widzi, że z nią rozmawia, iakby w istocie obecną była. Teraz dopiéro z całego serca ubolewał nad tem, że nie umié słodkobrzmiącéy Toskanów mowy. Poprzysiągł więc sobie, że dzień i noc dopóty

gramatyki włoskiéy z rąk nie wypuści, dopóki nie będzie mógł powiedzieć pięknéy swoiéy sąsiadce, że.... sam nie wiedział co.

Ale gdy porwał za gramatykę, uyrzał, że to była inna książka, że to była gramatyka francuzka pięknéy nieznaioméy. Zaledwie śmiał dotknąć się iéy świętości, przeklinał swóy los, że iest Panem le Blond, a nie tą godną zazdrości gramatyką włoską, którą Joasia wzięła z sobą, i która razem z nią miészkać odtąd będzie.

Blondyn nic nie iadł cały dzień, a ieśli kupuiący lub kupuiące nie były w sklepie, siedział pewnie w tylnéy izdebce, i patrzał przez okno na altankę z iaśminu. Dopiéro nad wieczorem przyszło mu na myśl, że możeby nie było od rzeczy odnieść pięknéy sąsiadce książkę zamienioną, i oddać ią do własnych iéy rąk. Wyszedł więc natychmiast, i w kilku minutach był na ulicy Stego. Fiakra. Łatwo poznał dóm Joasi. Byłto piękny pałac. Na dole były sklepy kupieckie; na iednym z nich wielkiemi złotemi literami stał napis: Magazyn stroiów Pani Buonvicini z Medyolanu.

Aż dotąd szło wszystko dobrze, ale teraz nagle opanowała go taka trwoga, że sam nie wiedział co czynić. Przeszedł koło pałacu, przeszedł przez ulicę, i dopiéro na drugiéy cokolwiek ochłonął. »Czemuż nie mam weyść, rzekł sam do siebie, wszakże ia w tym domu nie chciałem zrobić nic złego?« Wrócił się, ale za każdym krokiem, rosła w nim dawna boiaźń. »Cóż ona pomyśli, iak iéy książkę oddam? Może mnie weźmie za natręta? Może powinienem czekać, aż sama po nią przyśle? Któraż z córek Pani Buonvicini iest Joasią? Któż mi zaręczy, że Joasia iest w domu? Oddałbym książkę, straciłbym iedyny zakład moich nadziei.«

W takich myślach zatopiony, odszedł od pałacu, im bardziéy się oddalał, tém mocniéy tęsknił do pałacu; odwrócił się raz ieszcze i poszedł... znowu przez całą ulicę; tak przechodził kilka razy, nakoniec za nadeyściem nocy, znużony wrócił do domu. —

Omyłka.

Jednakże poczciwy Blondynek wkrótce się pocieszył. Książka Joasi iako porękoymia przyszłego zobaczenia się z nią, pod zamki i rygle, iakby więzień stanu osadzoną została.

Wieczerza nie smakowała naszemu Blondynowi, ale kto stawia zamki na lodzie, ten może żyie powietrzem.

Bardzo się podobało Blondynowi, że Joasia iest modniarką, a zatém iednego z nim stanu, i że byłoby iéy bardzo przystoynie, gdyby poszła za Pana le Blond, kupca i właściciela sklepu iedwabnego i galanteryynego. Już czynił sobie rozmaite plany, a ze wszystkich okazywało się iasno, iż Joasia iest naylepszą partyią dla niego. Zachodziło więc tylko iedno pytanie: iakimby sposobem można zyskać miłość tego anioła.

Blondynek wszystko dobrze wyrachował, tylko się w iednéy okoliczności okropnie omylił. Joasia mieszkała wprawdzie w tym samym pałacu co i Pani Buonvicini, ale nie była iéy córką, i przeciwnie była iedynaczką francuzkiego Jenerała de Fano, który w czasie oblężenia miasta Namiur otrzymawszy cieżką ranę, pozostać w mieście i léczyć się był przymuszony. Poczciwemu Blondynowi, ani to nawet przez myśl nie przeszło, że zapragnął ręki córki iednego z naydzielnieyszych Jenerałów francuzkich. On iako zły polityk, wcale nie wiedział, że iest iakiś Jenerał Fano na świecie.

Joasia, bo kiedym iuż czytelnikom zdradził iedną taiemnicę, muszę odkryć i drugą; Joasia nie z mnieyszém pomieszaniem wyszła z zaczarowanéy iaśminowéy altanki, piękny Blondyn nie wyszedł iéy z pamięci; dziéwczęta maią nayżywszą pamięć

w serduszku, a obraz pięknego Blondyna mieć w sercu, iestto dla młodey osoby rzeczą bardzo niebezpieczną.

Lubo kobiéty w ogólności iak same powiadaią nie są ciekawe, przecież Joasia rada była wiedzieć, kto iest ten Blondyn. Ale podeyrzanego słowa Blondyn nie śmiałaby wymówić, ani przed matką, ani przed panną służącą; bałaby się, żeby się zaraz czegoś więcey nie domyślano. Dowiadywała się wiec tylko z niechcenia, kto miészka w sąsiedzkim domu, a usłyszawszy, że ten dóm i przyległy mu ogródek, należy do znakomitego iakiegoś urzędnika, przestała na tém, będąc iuż pewną, że piękny Blondyn iest iego synem.

Niezadługo dostrzegła zamiany książek; z zagięcia karty doszła, że chciwy nauki ięzyka włoskiego Blondyn, doszedł do koniugacyi, i zaczyna się uczyć *io amo*, co iuż ona umiała doskonale tłómaczyć na francuzkie przez słowo *j' aime*. Ale tą razą przy tłómaczeniu słowa *io amo*, była bardzo pomiészana i niespokoyna, i chodziła często do pokoiu służącey, z którego okien widać było iaśminową altankę.

Każdego rana zaraz po wschodzie słońca, patrzali oboie przez okno do iaśminowey altanki, iedno czekało na drugie z wymianą książek. A ponieważ każde czekało, przeto daremnie trzy dni upłynęły. Joasia była niecierpliwą, a Blondynek ledwie nie umarł z tęsknoty.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

O Słoniu.

Historya o Słoniu, stanowi nayznakomitszą część powszechney historyi źwiérząt; a to, że człowiek odważył się uiarzmić i do swoiego użytku usposobić słonia, który, gdyby niezmierney siły swoiey użyć umiał, całe pułki rozpraszać i znosić zdołałby, iest nie małém dla przedsiębierczego ducha i rozumu ludzkiego zaszczytem. Wszakże tę śmiałość człowieka nagrodziły niezliczone ważne doświadczenia, które z żywo poymanemi źwierzętami przedsiębrane były, iako też poznanie w słoniu przymiotów do wiary niepodobnych, a iednak niezaprzeczonemi dowodami stwierdzonych.

Siłażto nie minęło wieków, zaczém te ogromne twory natury poznano, a wiele ich upłynęło, nim ciekawość górę nad boiaźnią biorąc, zbliżyć się do słonia ośmieliła człowieka; który następnie naturę i własności iego zgłębiaiąc, naostatek uiarzmił go i w cudze kraie uprowadził. Homer nic nie wspomina o słoniach, lubo w ich oyczyznie swoie nieśmiertelne pienia nucił. Do prawdy podobna, że mu wcale znane nie były. Znano iuż słonie za czasów Arystotelesa, i zdaie się, że Grecyia w woynach z Xerxesem, Rzym po zniesieniu Pyrrusa, piérwszy raz tych olbrzymów widziały. Słonie dodawały świetności tryumfowi Wielkiego Pompejusza.

Piérwszy słoń w Europie w nowszych wiekach widziany, zdaie się ów, którego Krol Portugalski Ludwikowi XIV. r. 1668 darował. Prawie o tymże czasie sprowadzono do Paryża drugiego, i pokazywano za pieniądze. Ten był z Indyiów, dopiéro trzechletni, i 5 stóp wysoki; tamten, z Congo, w Afryce, czteroletni, a 8 stóp wysoki, gdy go do Paryża przywiedziono. We 13 lat, przez które w Wersalu był utrzymywany, tylko na stopę wyrósł. Kiedy go po zgonie otwiérano, zachowano azyiatycki przepych w tak wysokim stopniu, iż publiczney narodowey uroczystości równał się. »Gdzie Düverney?« pytał Król. A na te słowa, wystąpił z wnętrza słonia Düverney (anatomik) dla udowodnienia wdzięczności za nayłaskawsze J. K. M. zapytanie.

Tylko z wyobrażeniem piękności łącząc wielkość i ogromność, możnaby słonia nazwać słusznie pięknym źwiérzem. Małe, lecz wymowne i pełne ognia iego oko ma rzęsy podobnie iak

człowieka, małpy lub strusia. Wpatruie się w pana swego, iuż to z wyrazem przywiązania, iuż znowu rozmyślania i badania, czyli zgadywania woli iego. Tak duże ma uszy, iż ociéra sobie niemi oczy, i chroni ie od prochu równie, iak owadu. Ma ostry i delikatny słuch. Muzykę lubi namiętnie, i uważano, że się w takt muzyki porusza. Zapach téż dziwnie mu przyiemny. Chciwie wyszukiwa pomarańczowego kwiatu, wietrzy bardzo z daleka, do czego mu służy trąba, którą przyciągać może. Zręcznie uwiia bukiet z wonnych kwiatów, poi się długo ich wonią, potém ziada. Jego trąba iest z rzędu osobliwszych dzieł natury, które są tworem téy piérwszéy mistrzyni; bardzo stosownie od starożytnych ręką słonia nazwana. Istotnie nic nie iest innego, iak tylko przedłużona wiérzchnia warga, którą słoń aż do trzech łokci wyciągać i znowu aż na łokieć sciągać, wykręcać i obracać podług woli może; sam koniec trąby usposabia w kształt palca tak giętkiego i zręcznego, iż nim to wszystko prawie, co i ludzki robić zdoła. Niczém iest dla słonia podnosić nim naydrobnieyszą monetę, rozwiązywać naybardziéy splątane węzły, klucze obracać, rygle zasuwać lub odsuwać, korki z butelek wyciągać i t. p. Podnosi nim rzeczy naycięższe równie iak nayleksze, i wyrywa z korzeniem, czy to pień drzewa sporego, czy ździebło chwieiącéy się trawki.

(Dalszy ciąg nastapi.)

Z Odessy. (*Ciąg dalszy.*) — Z tąd aż do Bałty na granicy Podola, iest tylko iedna pocztowa stacyia we wsi Pareimie. W braku budowniczego drzewa, uważałem tutay i daley aż do Bałty, szczegolny rodzay budowania gospodarskich budynków; to iest: ściany pleciono z grubego i gęstego chrustu, do czego używa się gałęzi, trzciny i tym podobnych rzeczy. Zabudowanie pokryte bywa słomą, i dosyć iest mocne.

W czasie odmiany zaprzęgu wszedłem do pobliskiey karczmy, którą, iak wszędzie w tym kraiu, żyd utrzymuie. Cała ta rodzina żydowska, mówiła miedzy sobą iezykiem tak zwanym niemiecko-żydowskim, lecz miała także i zupełna biegłość w zwyczayney mowie niąmieckiey, co postrzegałem w całey chersońskiey Gubernii aż do Odessy. I to było zapewne powodem, że niemieckie rodziny kolonistów, przez kray ten przechodząc poiedyńczo w daleką drogę do południowey Rossyi, mogły ią odbyć bez znaiomości mowy narodowey, bez pieniędzy, bez potrzeb mieyscowych, często nawet bes naymnieszey skazówki drogi.

Droga dobra i gładką, wkrótce można stanąć z Percimy w Bałcie. Miasto leży nad rzeką Kodymą, i było niegdyś polską granicą, ku powiatowi krymskich Tatarów. Teraz zaś iest ono siedliskiem sadu obwodowego i władz obwodowéy Administracyi, iako też średniém handlowém mieyscem okolic leżących na około. Z tąd panuie zawsze poruszenie na ulicach miasta, które z resztą nie są piękne, i ciągną się tak krzywo, wąsko lub szeroko, iak kto dóm swóy, ogród, lub podwórze wybudował i oparkanił. Na środku miasta iest targowica i budy rzędem stoiace. Niedaleko z tamtąd w narożnym domu, żyd założył dóm pocztowy, do którego zaprowadził mnie postylion. Przyniesiono mi coś nakształt obiadu, i piołunkowe wołoskie wino do stołu. Powszechnym iest to zwyczaiem w Multanach, Bessarabii, a poczęści i w Węgrzech mieszać wino z piołunem, przezco traci swóy cierpki kwasek, ale za to dostaie goryczy, do którey łatwo przyzwyczaić się można, a która obcą iest wprawdzie zwyczaynemu smakowi wina, wszelako dosyć przyiemną. Z resztą wino z podobną zaprawą ma być skutecznym środkiem prezerwacyynym przeciw zimney febrze. Kuchnia moiego hebreyskiego restauratora była dosyć smaczna, a wino piłem z upodobaniem.

Opuściliśmy Bałtę nad wieczorem. Droga ciągnie się tuż około miasta przez rzékę Kodymę i około dawnego granicznego słupu Królewstwa polskiego. Z tąd zaczyna się chersońska gubernija, czyli dawny powiat krymskich Tatarów, a z nim niezmierne stepy. Na wiosnę, dopóki ieszcze trawa nie wysoko wzrasta, buia oko podróżuiącego po nieprzeyrzanych płaszczyznach bez naymnieyszéy przerwy, dopóki wzrok znużony spadaiącego nieba niedosięgnie. Gdy zmrok nastąpił, sądziłem zupełnie znaydować się na morzu, powóz zdawał się bydź samotnym okrętem na dalekiey morskiey przestrzeni, a poiedyńcze ognie pasterzów błyszczały się, iak dalekie światła Farusa. Domy pocztowe do wysp podobne, leżały w tym pustym okręgu. Zbliżaiąc się w nocy do podobnego domu, słychać w dalekiéy odległości nieustanne wycie zgrai psów. Droga zaś iest gładka i utratowana, wyborne konie wypasione w tych stepach, usługa prędka, a zatem, przynaymniey nie ma na tém morzu nudnych i przeciwnych wiatrów.

(Dalszy ciąg nast.)

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.